

Przemysław Piętak: Triumf leminga pospolitego

Aby mieć chrześcijańskie rządy, trzeba mieć najpierw chrześcijańskie społeczeństwo



Aby mieć chrześcijańskie rządy, trzeba mieć najpierw chrześcijańskie społeczeństwo

Najnowsza książka profesora Ryszarda Legutki, „Triumf człowieka pospolitego”, przynosi interesującą diagnozę słabości demokracji liberalnej, trafnie wskazując na liczne analogie pomiędzy obecnie obowiązującą ideologią a jej socjalistyczną poprzedniczką. Skrótowo i w uproszczeniu rzecz ujmując, jedna i druga ideologia jest utopią, o ile bowiem socjalizm próbował stworzyć nowe społeczeństwo (ignorując

niemal zupełnie rolę jednostki), to demokracja liberalna próbuje stworzyć „nowego człowieka”, ignorując zupełnie rolę społeczeństwa. Ów „nowy człowiek” to w demokracji liberalnej jednostka syta i zadowolona, stymulowana nieustannie nowymi podnietami, skoncentrowana niemal wyłącznie na sobie i na swoich potrzebach, a w życiu poszukująca głównie przyjemności i rozrywki. Zarówno socjalizm, jak i liberalizm, *„wyrastają z przekonania, że świat taki, jaki jest, nie może być tolerowany, że powinien być zmieniony, że to, co stare, powinno być zastąpione nowym. Oba są ustrojami silnie i - by tak rzec - niecierpliwie ingerującymi w materię społeczną i oba uzasadniają tę ingerencję argumentem, że prowadzi to do polepszenia stanu rzeczy przez "unowocześnienie".*

Diagnoza, którą w swojej książce stawia prof. Legutko, wydaje się niezwykle trafna, a jej główna teza – jedna utopia została zastąpiona drugą – zachęca do refleksji. Nietrudno jednak zauważyć, że nie jest to teza pozbawiona słabości. Po pierwsze, pewną wątpliwość może budzić fakt, że autor książki nie jest w pełni bezstronnym obserwatorem. Opis „człowieka bez właściwości”, bezrefleksyjnego przeżuwacza będącego produktem demokracji liberalnej, dziwnym trafem doskonale pasuje bowiem do stereotypowego wizerunku legendarnego już „leminga”, będącego uosobieniem typowego wyborcy rządzącej w Polsce partii, wobec której autor jako eurodeputowany Prawa i Sprawiedliwości, znajduje się w opozycji. Ktoś złośliwy mógłby nawet zasugerować, że porównanie demokracji liberalnej do, przez 45 lat niezwycięzonego przecież w Polsce socjalizmu, stanowi pewnego rodzaju intelektualne usprawiedliwienie dla nieustającej serii kolejnych porażek wyborczych PiS-u i każe jego zwolennikiem przygotować się na bardzo długi marsz, skoro do przejęcia władzy potrzeba aż obalenia (lub naturalnego upadku) demoliberalnego ustroju.

Po drugie, ewidentną słabością proponowanej diagnozy jest opisywanie tytułowego „człowieka pospolitego” tak, jakby przedstawiciele tego wyhodowanego przez liberalną demokrację nowego gatunku byli jednolitą masą. Siłą (nawet jeżeli pozorną) demokracji liberalnej jest bowiem to, że pod jej skrzydłami każdy wydaje się sobie wyjątkową indywidualnością. Zgoda, że do pewnego stopnia jest to indywidualizm jedynie pozorny, tak jak w znanej anegdotce, w której ojciec mówi do syna: „Pamiętaj, jesteś wyjątkowy, tak jak wszyscy inni”. Nie należy jednak zapominać, że atrakcyjność demokracji liberalnej, przynajmniej w sferze deklaratywnej, polega na oferowanej przez ten system obietnicy nieograniczonej wolności, nawet jeżeli w praktyce jest to zaledwie wolność robienia tego, co wszyscy pozostali.

Dokładnie z tą samą słabością diagnozy mamy zresztą do czynienia, gdy swoim politycznym przeciwnikom bezrefleksyjnie przyklejamy ironiczną łatkę „lemingów”, zamiast chociaż przez chwilę spróbować zrozumieć motywy ich postępowania. Tymczasem, wychowanek demokracji liberalnej nie dlatego uważa, że należy zezwolić na – dla przykładu – małżeństwa homoseksualne, aborcję na życzenie i dobrowolną eutanazję, ponieważ jest (jak z poczuciem wyższości uważają jego przeciwnicy) zepsutą i zdegenerowaną jednostką nie potrafiącą myśleć samodzielnie, ale dlatego, że autentycznie wierzy, że szeroko pojęta wolność jest dla człowieka wartością najwyższą. Można i należy z nim dyskutować i argumentować, dlaczego ta wiara jest błędna, i dlaczego moralne zakazy, chociaż pozornie tę wolność ograniczają, mają wartość – tak jak wartość ma czerwone światło na skrzyżowaniu, mimo że również w pewnym stopniu naszą wolność ogranicza. Nie sposób jednak zignorować autentyczności i siły przekonania tych, którzy w wolność jako dobro najwyższe wierzą. Tymczasem, ustawiając sobie wygodnie przeciwnika jako bezmyślny

produkt demoliberalnej ideologii, będziemy może, jako ci lepsi i bardziej świadomi, mieli chwilę podszytej wyższością satysfakcji – ale z tej satysfakcji niewiele wynika.

I wreszcie, nie tyle zarzut, co stwierdzenie oczywistego faktu – pogląd, że liberalna demokracja jest niebezpieczną utopią opartą na fałszywej antropologii, jest prawdziwy tylko z jednej konkretnej perspektywy, a mianowicie z perspektywy chrześcijańskiej. Należałoby zatem odważnie postawić kropkę nad „i”, i wprost powiedzieć (wiedząc, że wśród demoliberałów to wywoła histerię), że jedyną autentyczną alternatywą dla zsekularyzowanego państwa demoliberalnego jest państwo chrześcijańskie, państwo Boże, Civitas Dei. A zatem państwo, w którym wartości i nakazy wynikają wprost z nauczania Kościoła Katolickiego.

Jakie warunki należałoby zatem spełnić, aby Civitas Dei już tu, w naszej ziemskiej rzeczywistości, zastąpiło świecką utopię? Możliwości są dwie – albo siłą przeciwstawić się demoliberalnemu postępowi, organizując jakąś formę chrześcijańskiej (kontr)rewolucji, albo stworzyć autentyczną partię o autentycznie chrześcijańskim programie i zbudować dla niej tak szerokie poparcie społeczne, aby zdecydowaną większością wygrać demokratyczne wybory i samodzielnie sprawować władzę, skutecznie czyszcząc polityczną rzeczywistość z demoliberalnych naleciałości i odchyleń.

Tyle, że aby mieć chrześcijańskie rządy, trzeba mieć najpierw chrześcijańskie społeczeństwo. Polskie społeczeństwo zaś, pomimo uspokajających statystyk o liczbie ochrzczonych, już o dość dawna chrześcijańskim nie jest. Dlatego też, jedynym na dłuższą metę

skutecznym sposobem w walce z demoliberalną (i jakąkolwiek inną) utopią, nie jest agitacja, a oddolna, cierpliwa ewangelizacja. Najpierw trzeba wygrywać sumienia, a dopiero potem wybory. Odwrotna kolejność zawsze będzie tylko nieskuteczną drogą na skróty.

Przemysław Pięta